

Marek Sacha po odbyciu swojej misji w Boliwii jako wolontariusz (29 XI 2016 – 30 IV 2018), dzieli się świeżym wspomnieniem i radością z jej spełnienia.

BOLIWIA: PIĘKNA I BESTIA

I jak być pomostem...

Jeśli ktoś by mnie zapytał dzisiaj, to odpowiedziałbym „zleciało jak jeden dzień”. Tak upłynął rok, pięć miesięcy i jeden dzień na ziemi boliwijskiej. Czas piękny, a zarazem trudny. Czas uczenia, ale i uczenia się. Czas radości aż do łez i smutków w gwieździste samotne noce. Czas, którego nie żałuję, a wręcz przeciwnie: jestem Bogu za niego wdzięczny, gdyż jestem innym człowiekiem.

Wszystko zaczęło się w 2012 roku, od mojego pierwszego pobytu w Boliwii. Później był koniec roku 2014 i tam, na miejscu, z biskupem Antonim, franciszkaninem, który na misjach jest już ponad 30 lat, miała miejsce rozmowa, która choć krótka, była już początkiem mojej przyszłej misji. Trzeba było się do niej przygotować, a przede wszystkim ja musiałem do tej decyzji dojrzeć tak, aby 26 listopada 2016 roku wylecieć z Polski z dwiema walizkami i plecakiem. Zatrzymałem się jeszcze w Hiszpanii, aby odwiedzić dwa sanktuaria maryjne bliskie memu sercu: w Saragossie i Torreciudad. W dniu 29 listopada 2016 witali mnie na lotnisku w Santa Cruz de la Sierra w Boliwii dwaj nasi tarnowscy księża misjonarze: Kazimierz Stempniowski i Paweł Żurowski. Po południu spotkanie z biskupem Antonim i nazajutrz udaliśmy się do Concepción (oddalonego o 270 km od miasta), gdzie spędziłem większość mojego pobytu.

Trudno by tu wymieniać wszystko po kolei. Dlatego postaram się skupić teraz na moich zadaniach lub obowiązkach, które jeszcze mam w pamięci. Na początku zrobię to jako telegraficzny skrót, a potem coś rozwinę o najważniejszych. Osobisty sekretarz biskupa Antoniego, jego kierowca, a także ceremoniarz liturgii. Całodobowa opieka domu biskupiego, katedry oraz „domu pielgrzyma”. Przeprowadzanie bądź nadzorowanie wszelakich prac remontowo-budowlanych w całym konwencie. Przyjmowanie turystów, a także towarzyszenie gościom biskupa. Reprezentowanie biskupa na niektórych spotkaniach. Prowadzenie kilku projektów, części rachunkowości i pomoc w kurii. Troska o katedrę wraz z siostrami zakonnymi z Meksyku. Skonsolidowanie i prowadzenie zespołu muzycznego, prowadzenie modlitwy z młodzieżą w duchu Taizé. Na końcu mojego pobytu, przy pomocy prawnika, przygotowałem szereg dokumentacji wraz ze stworzeniem Rejestru Publiczno-Kanonicznego Jednostek Religijnych wszystkich parafii (to w związku z utrudnieniami, jakie nakłada państwo na Kościół).

Przede wszystkim byłem osobistym sekretarzem biskupa Antoniego. Za tą funkcją, kryją się tysiące małych i wielkich zadań wypełnianych, niezależnie od dnia tygodnia, godziny czy miejsca. Tylko sekretarz jakiegoś innego biskupa w pełni mnie zrozumie. Obok tego jego kierowca, a kto zna biskupa Antoniego wie, że wiele podróżuje. To zadanie powiększają realia boliwijskie (jakość dróg, jakość kierowców czy odległości). To niełatwy „kawałek chleba”. Dodam tylko, że wikariat apostolski Ñuflo de Chávez odpowiada 1/3 terytorium Polski i pracuje w nim 25 księży. O ile mnie pamięć nie myli, w ciągu mojego pobytu przejechałem samochodem ok. 35 tys. km, a dokładniej przez pierwszych ok. 8-9 miesięcy, gdyż później moje zadania skupiły się bardziej na mieście Concepción (remonty, biskupstwo, kuria, katedra czy wizyty). Ale to właśnie w tym momencie muszę się Wam do czegoś się przyznać... To właśnie nocami, za kierownicą, wracając po całym ciężkim dniu do miejsca odpoczynku, mając śpiącego biskupa obok (po wielu mszach, spotkaniach itp. był po prostu wycieńczony), czułem się bardzo potrzebny i zarazem bardzo spełniony. Było to uczucie niesamowite! Coś, czego słowem nie potrafię opisać. Gdy jechało się w zupełnej

ciemności, przy akompaniamencie otaczającej dżungli i widoku rozgwieżdżonego jak nigdzie indziej nieba, mijając od czasu do czasu jakiś samochód albo nieoświetlony motor... to było to. Misja w misji. To właśnie ten pomost, którym byłem. To właśnie bycie w cieniu człowieka, o którym wielu mówi, że jest święty. Może nie głosiłem kazań (choć kilka razy się zdarzyło), nie sprawowałem sakramentów, ale pomagałem jemu, aby on z większą siłą i mocą mógł głosić Jezusa tamtejszym ludziom. Jechałem i to sprawiało, że siły powracały. I co więcej dawało mi to ogromną radość i spełnienie. Wiem to, iż choć może moje życie wygląda chaotycznie, to pojawiłem się w Boliwii w czasie nieprzypadkowym. To właśnie w dniu mojego przybycia u biskupa wykryto dosyć poważne problemy zdrowotne i już po 1,5 miesiąca był zmuszony polecieć do Polski. Zostałem „sam”, rzucony na głęboką wodę (nawiasem mówiąc jego zawołanie biskupie brzmi „Duc in altum”, czyli „Wy płyn na głębie”). Po jego powrocie moja osoba, zwłaszcza w pierwszych miesiącach, była „jak znalazł”.

Kolejną moją funkcją było asystowanie jako ceremoniarz podczas celebracji liturgicznych spełnianych przez biskupa lub przy innych większych uroczystościach. Nabyta wiedza i doświadczenia z diecezji bardzo mi się tam przydały, choć trzeba pamiętać, że nie wszystko co działa tutaj, działa i tam.

Następnie pod moją opieką czy nadzorem był dom biskupa (tzw. biskupstwo), aby niczego nie brakowało jemu, jego gościom czy księżom obok żyjącym, czyli zaopatrzenie tak na co dzień, organizowanie świąt, uroczystości, fiest z udziałem mniejszych lub większych grup w domu biskupa. Moim zadaniem była posługa w katedrze (wpisanej na Światową Listę UNESCO) jako zakrystianina, animatora liturgicznego czy śpiew podczas liturgii. Obsługa licznych wizyt, czy to tych do biskupa, czy turystów w „domu pielgrzyma”, który najpierw wyremontowaliśmy. To wszystko spełniane siedem dni w tygodniu często od wczesnych do późnych godzin, gdzie to ja zamykałem katedrę po celebracjach. W „kuri” (w której obok mnie i biskupa pracowała jeszcze jedna pani Boliwijka) zajmowałem się prowadzeniem niektórych projektów, części rachunkowości itp., a na końcu mojego pobytu przygotowałem szereg dokumentacji wraz ze stworzeniem wspomnianego Rejestru Publiczno-Kanonicznego.

To czas szeregu spotkań. Tych planowanych, bądź częściej nieplanowanych, z dziećmi, młodzieżą, dorosłymi czy starszymi, którzy często chcieli się po prostu wygadać. Tam świat jeszcze żyje większymi relacjami międzyludzkimi (choć niestety cywilizacja a bardziej cyfryzacja nieuchronnie wchodzi i na tamte tereny). Nie sposób wymieniść, a pewnie zapamiętać tych wszystkich problemów czy spraw, z jakimi przychodzili. W każdym przypadku była to możliwość spotkania, zapytania, wysłuchania, doradzenia. To czas patrzenia na życie i świat z innej perspektywy. Tam wszystko płynie wolniej, radośniej. Inaczej. Ludzie niewiele mają i często to im pomaga swobodniej żyć. Nie znaczy to, że wszystko jest kolorowe, bo również (jak w tytule) Boliwia potrafi jeszcze „pokazać pazur swojej dzikości”. Ale to też piękno ich kultury, zwyczajów, tradycji czy wierzeń. Dodajmy, iż tamtejszy Kościół jest stosunkowo młody, dlatego potrzeba dużej otwartości i cierpliwości na co dzień.

Marek Sacha
Boliwia, Concepción, dn. 30 kwietnia 2018 r.
Głosie Ewangelii, (2018)4, s. 52-54.